

Małgosia i ja

Głębokiego uczucia, jakie nas połączyło, nie rozumiał nikt, ani rodzina, ani znajomi, a przyjaciel jeszcze wtedy, ze względu na bardzo młody wiek, nie posiadałam. Co do jednego nie miałam wątpliwości – była to miłość prawie od pierwszego spojrzenia. Była niespodzianką, podarunkiem od prababci znanej w kręgach rodzinnych z oschłości i skąpstwa. Równie wielkie zaskoczenie w oczach mamy i babci zobaczyłam parę miesięcy wcześniej, gdy po raz pierwszy zostałam przedstawiona prababce. Pomimo wcześniejszego forsownego szkolenia – zaraz po przewidzianym, kurtuazyjnym dygu i lizusowskim ucałowaniu rąk staruszki – nagle wdrapałam się jej na kolana i złożyłam dwa lekkie cmoki na zwiędłych policzkach. Prababcia wcale mnie nie zbesztala, lecz wręcz wydała okrzyk radości:

– To moja krew. Ta przynajmniej niczego się nie boi.

Tylko ta historia tłumaczyła oszczędną rozrzutność seniorki. Małgosię prawdopodobnie kupiła w kiosku Ruchu, bo nigdzie indziej nie widywano równie pospolitych i brzydkich lalek. Tu przytaczam zasłyszane w drodze powrotnej zdanie z rozmowy moich menterek. Zrobiło mi się smutno, zostałam obdarowana, a one, zamiast docenić wspańiałomyślny gest, wyśmiały go. Najpierw poczułam współczucie, a później – jedność z brzydulą. Była zwyczajna, nie za duża, mieściła się zgrabnie w rękach. Miała jasne, krótkie włosy, sukienkę w moim ulubionym kolorze – czerwonym. Nie była tak ładna jak inne moje zabawki, w okolicach ust odpadła jej farba. Te odpryski wyglądały, jakby szczyrzyła zęby... Może to wszystko przez te zęby. Podobne, niespodziewanie i boleśnie, pojawiły się wkrótce także w mojej głębie...

Obydwie byłyśmy nieudanyymi egzemplarzami, ja wiecznie sprawiałam kłopoty, a ona była szpetna – godny początek przyjaźni. Oczywiście, że miałam inne zabawki, śliczne i drogie, przywożone przez rodziców z licznych podróży – łapówki tłumaczące ich nieobecność – ale nie lubiłam się nimi bawić. Główną przeszkodą okazało się to, że były śliczne, że należało na nie bardzo uważać i pod żadnym pozorem ich nie zepsuć.

– Taką drogą zabawkę dostałaś, powinnaś ją szanować, nikt inny takiej nie ma, nie tarmoś jej, nie rzucaj, nie rozbieraj lalki, bo podrzesz sukienkę. Czy wiesz, ile kosztowała? Mamie będzie przykro, że popsutaś (jej prezent) – to tylko nieliczne z uwag towarzyszących moim zabawom. A tu, niespodzianie, dostałam coś, czego nikt nie chciał, co jest bezwartościowe, co można nawet zniszczyć i nie usłyszysz się wtedy bury i nie sprawi nikomu przykrości. Nareszcie coś, czym można się bawić.

Stałyśmy się nierozłączne, razem chodziliśmy do żłobka, do przedszkola, na liczne rodzinne wizyty. Wspólnie spędzałyśmy święta, czekałyśmy na prezenty, przyjmowałyśmy gości. Nasza znajomość nie sprowadzała się tylko do dzielenia radości.

Wspólnie chorowałyśmy; wymalowane w fioletowe plamy przeszłyśmy ospę, w czerwone – szkarłatną czy odrę. Każdy zastrzyk, który był mi zrobiony, nie ominął, o co skwapliwie dbałam, także Małgosi. Próby zastrzyków, a było ich naprawdę sporo, tak po trzy dziennie, przez jakiś miesiąc, a może dwa, lalka nie zniósła równie dzielnie jak ja. Wstrzykiwane „lekarstwa” zalegały w jej gumowym korpusie i trzeba było je wylewać (igły strzykawkę lepiej wchodziły w misie, ale im trociny pleśniały i nie nadążano z suszeniem). Najszybszą metodą na opróżnianie Małgosi było wyrwanie jej głowy i, po wychłapaniu płynów, ponowne zespolenie części. Niestety po jakimś czasie nasada głowy rozdarła się w okolicach karku i głowa zaczęła regularnie wypadać. Małgosia została wtedy lalką dwuczęściową; korpus nosiłam przyciśnięty do piersi, głowę zaś trzymałam za włosy, w rączce, a że wysoka to ja nigdy nie byłam, więc przyznaję – czasami ciągnęłam część Małgosi za sobą po ziemi. Nawet ta niedogodność nie obniżyła temperatury naszych uczuć. Spokojnie mogę was zapewnić, że kochałam ją jeszcze bardziej. Im większą wzbudzałyśmy niechęć, tym bardziej byłyśmy nierozłączne. Rodzina dziwiła się często, skąd w Małgosi tyle pokory, a we mnie tyle okrucieństwa.



Jana Bečková